

BIESIADA

LITERACKA

LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 5—579.

Redakcyja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 4 lutego 1887 r.

23 stycznia 1887 r.

Tom XXIII.



WALKA U STÓP OLTARZY.

Obraz A. Neuville'a.



Położenie na Zachodzie Europy. — Walka między opinią publiczną a postrachami niemieckimi zakończona zwycięstwem tych ostatnich. — Sprawa baraków i generał Boulanger. — Na Wschodzie Europy. — Prąd pokojowy. — Pesymizm niemiecki staje mu na drodze. — Żnów chwila oczekiwania.

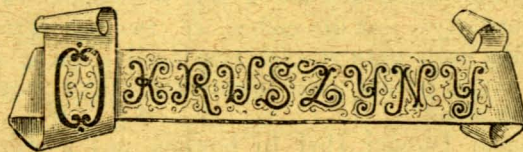
Nareszcie udało się księciu Bismarkowi i prasie pruskiej zatroszczyć opinią publiczną niebezpieczeństwem nowej wojny francuzko-niemieckiej. Długo biedaczka opierała się po bohater-sku rzucającym postrachom, kładąc je na karb manewrów wyborczych; w końcu jednak musiała kapitulować. Nie wzruszyła jej zrazu ani wiadomość o aresztowaniu oficera francuzkiego, który miał zdejmować plany okolic Karlsruhe, ani zakaz wyprowadzania z Niemiec koni, ani nawet zakaz wywozu z Alzacji i innych prowincyj niemieckich desek na owe groźne dla bezpieczeństwa Niemiec baraki francuzkie; ale w końcu wyzywający ciągle względem Francji ton dzienników pruskich, powołanie przez rząd niemiecki pod broń 72,000 rezerwy już na pierwsze dni lutego, pod pozorem ćwiczenia żołnierzy w użyciu nowej broni, dalej mowa lorda Salisburyego w izbie lordów angielskiej, wyrażająca wprawdzie nadzieję utrzymania pokoju, ale bardzo wątpliwe dla tej nadziei stawiająca horoskopy, i ciągła panika giełdowa, stworzona głównie owym powołaniem rezerw niemieckich, wpłynęły na opinię przynębiająco. Ostatni cios zada jej, jeśli się sprawdzi, wiadomość, że Niemcy zamysłują także o pobudowaniu baraków wzdłuż granicy francuzkiej. Słusznie w tej mierze odzywa się jeden z dzienników berlińskich: „Nie potrzebujemy się rozwodzić nad położeniem, jakie się wytworzy, gdy baraki z obu stron granicy zostaną zajęte przez wojska, gdy dwie armie staną na granicy naprzeciwko siebie i forpoczty swoje rozstawią tak, jak w czasie wojny.” Zresztą ostrza wycieczek niemieckich zwracają się głównie przeciw generałowi Boulanger, którego prasa pruska nazywa „niebezpiecznym człowiekiem”, i grozi przeciwdziałkami ze strony niemieckiej, w razie gdyby ten niebezpieczny człowiek doprowadził do skutku swój zamiar uruchomienia na próbę kilku korpusów francuzkich.

Podczas gdy w ten sposób położenie na zachodzie Europy zaostrza się już oddawna i niejako systematycznie, sytuacja na wschodzie zdawała się na serwo przybierać coraz bardziej pokojowy charakter. Pokładano wielkie nadzieje w zapowiedzianych rokowaniach Porty z deputacją bułgarską, która już w tej chwili znajduje się w Stambule; wszyscy ambasadorowie uwierzytelnieni przy Porcie — z wyjątkiem angielskiego — otrzymali polecenie popierania tych rokowań a o pojedynczym usposobieniu bułgarów jaknajlepiej sobie tuszono. Zresztą i margrabia Salisburi, we wspomnianej powyżej mowie, mianiej w izbie lordów, mówiąc o kwestyi bułgarskiej, oświadczył naprzód kategorycznie, że Anglia nie myślała i nie myśli o popieraniu kandydatury księcia Aleksandra Battenberga, a następnie przyznał Rossji prawa do szczególnego wpływu na losy i sprawy Bułgarii, zastrzegł się tylko przeciw przeobrażeniu się tego wpływu w bezpośrednie zwierzchnictwo.

Dziwna rzecz, iż wobec tego pokojowego prądu, którego zasługę opinia publiczna przyznawała głównie postawie, jaką wobec wypadków na wschodzie przybrał kanclerz niemiecki, właśnie w jednej tylko prasie niemieckiej objawiały się wątpliwości i uwagi pesymistyczne, przepowiadające, że akcja pokojowa w ostatniej jeszcze chwili napotkać może nieprzewzyciężone trudności.

I wróżby te sprawdzać się poniekąd zaczynają. Już w rokowaniach między Portą a bawiącym oddawna w Stambule Cankowem, głową opozycji bułgarskiej przeciw rządowi rejenicy, okazały się wielkie różnice poglądów na przedmiot układów; wątpliwe zatem można, czy gładziej pójdą pertraktacje z deputacją. Według planu bułgarskiego, rejenicy zwołałyby wielkie

zgrupowanie narodowe, w jego ręce złożyłyby władzę, poczem utworzony by został gabinet koalicyjny; tymczasem według żądań popieranych przez Portę, chodzi głównie i przedewszystkiem o to, żeby rejenicy bez żadnych zastrzeżeń złożyła władzę, a potem obmyślane już zostaną środki uregulowania kwestyi bułgarskiej. Są już pewne wskazówki, że na uległość rejenicy zbyt wiele rachować nie można; powiększa ona armię a w ostatnich czasach poczęła skupować konie. Prąd więc pokojowy i na wschodzie Europy powstrzymanym został w swym biegu i nastąpiła znów chwila oczekiwania.



603) ODPOWIEDŹ na pytanie: Czy niewidomi potrafią odróżnić ludzi pięknych od brzydkich?

Zmysł dotykania jest może ze wszystkich pięciu zmysłów najtrudniejszym do zbadania. Rozlany po całej przestrzeni ciała, zbiega się głównie w rękach, nie tracąc mimo to siły w innych częściach ciała. Formy zresztą w jakich się objawia są tak liczne, że niepodobna było ustanowić jego teorii.

Dwaj uczeni szwajcarscy robili nowe w tym przedmiocie badania; według pierwszego z nich, p. Hergen'a, zmysł dotykania rozkłada się na właściwy zmysł dotyku, na zmysł zimna, zmysł bólu i zmysł gorąca. Drugi uczonec, p. Soret, zajął się dotykaniem raczej ze stanowiska psychologicznego, badając, w jakim stopniu może ono służyć człowiekowi, który się zrodził ślepym, do utworzenia sobie pojęcia o kształtach piękna.

Na pierwszy rzut oka poszukiwania te wydają się chimerycznymi, bo jak tu wiedzieć, że Venus z Milo jest piękna, skoro się jej widzieć nie może? A jednak gdy pomyślimy, że zdołano głuchoniemym dać uczuć wrażenia muzyczne zapomocą wpływu wibracji fal głosowych na system nerwowy, poznanie przez ślepego kształtów piękna przestaje być urojeniem. Głuchoniemy ma tylko słuch do przejęcia wrażeń tonów muzycznych, podczas gdy ślepy ma zmysł dotykania, który już w stanie surowym daje pewne pojęcie kształtu a rozwinięty może dać pojęcie o wiele dokładniejsze.

Zauważył to trafnie p. Soret i w skutek licznych i cierpliwych obserwacji przyszedł do przekonania, że ślepy może rozróżnić i ocenić piękność form. Naprzód obserwacjami w zakładzie lozańskim upewnił się, że ślepi mają takie samo upodobanie w symetrii, jakie charakteryzuje głuchoniemych; naprzykład hafciarki w tym zakładzie przywiązują najwyższą wagę do regularności deseni; koszykarze nie znoszą, żeby pręty których używają nie były proste zupełnie i równej długości. W ogólności można powieździeć, że wszelkie nieregularności są dla ślepych znamionami brzydoty. Lubią oni powierzchnie gładkie, kształty symetryczne; szczyrba w garnku, chropowatość na stole, sprawiają im przykre wrażenie.

Łatwo zrozumieć, że nie odrazu i nie *naturalnie* dochodzi ślepy do takiego rezultatu; wymaga to ze strony ucznia prawie tyle cierpliwości co ze strony nauczyciela. Ale też cóż za radość dla ślepego, gdy zdoła rozróżnić wół malowanego od takiegoż barana!

Tryumfem tej edukacji estetycznej jest poznanie piękności, wdzięku postaci ludzkiej. Przed trzema laty — opowiada p. Soret — trzech profesorów zwiedzało razem zakład lozański: jeden z nich był to wysoki i przystojny szwed, z rysami szlachetnymi i regularnymi; drugi, szwajcar, wyjątkowo brzydki; trzeci, człowiek zwyczajny, nie wyróżniający się niczem od zwykłych śmiertelników. Między pensjonarzami zakładu był pewien głuchoniemy, bardzo inteligentny, pomimo wszystkiego czego mu brakowało do porozumiewania się z światem zewnętrznym, a szczególnie wrażliwy na uczucie dotykania. Gdy zbadał jakiś przedmiot brzydki albo uszkodzony, wyrażał zawsze pewnymi oznakami współczucie albo ironię. Przedstawiono mu trzech gości, których począł obmacywać według zwyczaju; piękność szweda wzbudziła w nim podziw; gdy przyszła kolej na szwajcara — począł się śmiać, pokazując znakami, że ten człowiek nie ma tyłu głowy, co go niezmiernie ubawiło. W trzecim profesorze nie znalazł nic szczególnego i nie okazał ani zadowolenia, ani przykrości.

Spowiednikiem w kolegium Św. Stanisława w Paryżu był niedawno zmarły mgr. de Segure; ociemniały ten prafat obmacywał twarze chłopców, znał ich wszystkich i rozróżniał dokładnie, twierząc, iż wie jak który z nich wygląda.

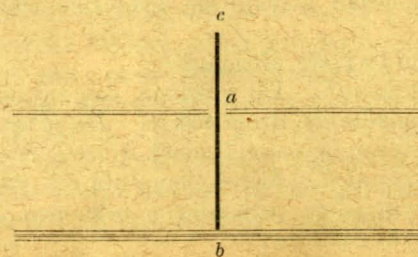
604) PYTANIE: Czy zwierzęta mają pojęcie o zgonie?

Ze skarbcza prawd. Szczera miłość dodaje człowiekowi siły do walki z śmiercią; nie umiera tylko dlatego, że kocha.

Zadanie geometryczne.

(A. Wiśniewskiego.)

Oznaczyć długość trzyciny a b pod wodą. Trzycina a c , nad wodą, ma 2 łokcie.



PRZEWODNIK.

P. W. Radziszewska w O. Prenumerując przez pocztę zagraniczną, płaci się znacznie drożej niż nadsyłając pieniądze wprost do redakcyi. My na taryfę pocztową nie mamy żadnego wpływu; więc i opozycya nasza przeciw podwyżce na nic by się nie zdała.—**P. K. H. w G.** Cennik tych przedmiotów przesyła fabryka pasów W. Rudnickiego, ul. Wierzbowa, n-r 6.—**P. A. Ig. w Kijowie.** Otrzymałmy taki sam okólnik od firmy Kuksz i Liedtke, którzy, po wystąpieniu ze spółki p. Grethera, będą dalej prowadzić w Warszawie interes dotychczasowy. Przesyłki cenników każdej fabryki byłyby dla nas zbyt utrudniające.—**P. S. W. st. Wornie.** Żądaniu pani musimy odmówić; wysłałmy już kilkanaście cenników księgarskich i odpowiedzi na pytanie: jakie książki czytać? Dalszą pomoc naszą uważamy za bezpożyteczną.—**P. Tekla R. w J.** Rękopism odczytamy i osądzimy bezstronnie, a jeśli będzie dobry, zalecimy go księgarzowi i wydawcy. Najgorzej autorka wy-

w użyciu czernieją i smolą jak cyna. Fabryka niemiecka może gwarantować, bo cóż jej kto zrobi choć się przekona, że został oszukany. Noże, widelce i t. p. z nowego srebra są nieco droższe ale bez porównania lepsze; dadzą się odnowić i miłe są dla oka. Zastawy stołowe z „Brytanii” stały się już nieraz powodem nieporozumień małżeńskich. Pewien ojciec, olśniony blaskiem metalu wniósł w siebie, że Niemiec się omylił i dał mu zamiast cyny prawdziwe srebro; przekonanie swoje udzielił córce a córka narzeczonemu. Po ślubie, w jakiś czas, małżonek widząc zastawę żońdziałą, brudną, zarzucił teściowi, że został oszukany i wytoczył mu proces.—**P. Z. Bieniecka w M.** Adres Biura informacyjnego o nędzy wstydzającej się żebrać: „Instytut 5-go Kazimierza, Tamka, n-r 25.” Ofiary najlepiej przysyłać wprost pod tym adresem. Nie wymawiamy się i dziękujemy za zaufanie lecz prosta droga zawsze najkrótsza, a biedacy czekać nie mogą.—**Towarzystwo Wioślarskie** na zimą mieści się w lokalu przy ulicy Miodowej, a na lato w przystani wiślaniej. Nie koniecznie trzeba umieć pływać,



Pałac ludowy.

szlaby na tém, gdybyśmy od siebie pracę jej chcieli zbyć jakiej redakcyi; pośrednictwo takie budzi podejrzenie, że utwór którego nie zatrzymujemy wart jest b. mało. Notatki są pożądane. Zrobimy jaknajlepiej.—**P. W. Troszyński.** Premij obrazowych nie możemy zamieniać na książki; conajwięcej za premium tegoroczne służyć będziemy portretem z lat poprzednich.—**P. H. M. w W.** Sprawozdanie w tej formie jest dla nas zaspecalne; w naszym piśmie szukają informacji głównie ziemianie, których kursa wszystkich papierów nie obchodzą; podajemy więc tylko kursa głównych akcji krajowych, monet a głównie ceny zbożowe, o których rzeczywistości ziemianin nigdy się nie dowie od kupca z miasteczka. Za ofiarowanie usług uprzejmie dziękujemy.—**Prenumeratorowi ze stacji Będzin.** List pański ze skargą na brutalstwo p. ekspedytora miejscowego, zakomunikujemy Zarządowi poczt, jeżeli p. ekspedytor nie zaprzestanie szykan, będących ze szkodą prenumeratorów i wydawców.—**P. W. W. w Piątku** Wstrzymaj się pan od kupna; wyroby z metala u „Brytanii” nie nie warte, prędko

aby zostać członkiem tego klubu, znajdują się tam i tacy, co się boją wody jak ognia; ale z taką wadą lepiej zapisać się do Towarzystwa Ogrodniczego, które na wodę puszcza się tylko raz do roku, wyprawiając sobie majówkę na Bielanych. Kobiety w Towarzystwie wioślarskiem asystują mężom i braciom, lecz osobnego stowarzyszenia nie stanowią. Nie brak między niemi odważnych wioślarek, których żadna burza nie ustrasz; niejeden wioślarz, wpędzony na prąd wiślany, wniósł życie dzielnej towarzysze, chociaż do tego żaden się jeszcze nie przyznał.—**Amatorowi świeżych sielaw; z ulicy Kapitulnej.** Sielawy z jeziora Trockiego są wyborne ale sprowadzać ich nawet dla swoich prenumeratorów nie możemy. Pan Girdwoyń, dzierżawca jeziora Trockiego, urządził skład ryb w sklepie p. Nowickiego przy ulicy Marszałkowskiej; co parę dni świeży transport nadchodzi. Przysmak to przedziwny ale zjeść go trzeba zaraz, w ciepłe prędko się psuje. Spółpracownicy Biesiady lubią oczywiście i sielawy lecz redakcyi na targ rybny zamieniać nie wypada.

Treść numeru 579 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy.—Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.)—Zakładnicy lwowscy (1672), przez D-ra J. (d. c.)—Burza (wiersz).—Czy jest kres dla szybkości strzałów karabinowych.—Walka u stóp ołtarzy.—Z robotą do domu.—Dom dla robotników.—Raptularz tygodniowy.—Gwiazda gaśnie, powieść Klaudyusza Maraisel—Listy polityczne.—Czy niewidomi potrafią odróżnić ludzi pięknych od brzydkich?—Ze skarbcza prawd.—Zadanie geometryczne.—Humorystyka.—Jak sobie radzić.—Rolnictwo, przemysł, giełda.—Gazetka.—Post-scriptum.—Przewodnik.—*Rysunki:* Walka u stóp ołtarzy. (Obraz A. Neuville'a).—Z robotą do domu. (Obraz J. Arnolda).—Flisacy pod Gdańskiem. (Obraz R. Stryjowskiego).—Dom dla robotników.—Rebus.—„Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkus 5.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. **Na prowincyi i w Cesarstwie:** rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. **Za dodatek książkowy z powieścią historyczną** należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. **Prenumerata zagranicą** jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monetę obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. **Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej.** Sumy drobne przyjmujemy w markach. **Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20.** Za zmianą drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Января 1887.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek.—Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego:** Chmielna Nr 26.

Z WARSZAWY.

Za ostatni grosz.—Karykatura słów poety.—Mój pierwszy frak.—Wstrzeźliwość Tow. zachęty sztuk pięknych.—Orzeł-żółw.—Pomysłowy kwestarz.—Drobie wypłoszone z Wystawy sztuk pięknych.—Kolekcya dzieł Brandta.—W Królewcu.—„Pasterka” Marcinkowskiego.—Niepomyślny rezultat konkursu tego-rocznego.—Dlaczego?—Auter „Samaritanina” skrzywdzony.—Przedwczesna mogiła.

Gdzie się podziały owe czasy, kiedy to człowiek mając w kieszeni grosz—dobijał targu o cały Kraków; gdzie się podziela nasza bezgraniczna ufność w ślepe szczęście i wszechmoc faktora. Nie budźmy licha; niech sobie śpią spokojnie aferzyści stawiający wszystko na jedną kartę, którzy pytali tylko: gdzie i co jest do kupienia. Poeta zajrzał w świat cudów, porównał je z mizerotą rozumu ludzkiego, uwierzył w potęgę woli i wygłosił hasło: mierz siły na zamiary! Poetę sparodyowali ludzie powszedni, którym imponował nie cud lecz sąsiad, co się z niczego dorobił milionów lub mając długów po uszy, żył sobie po pańsku.

Któż z nas jako tako spowinowacony ze wsią nie znał odważnych, którzy mając kilka tysięcy brali ogromnie dzierżawy, a za dziedzictwa krociowej wartości zadatkowali ostatnim groszem, nie kłopotząc się zkąd wezmą więcej... To też samobójstw finansowych było wówczas tyle co i dzisiaj, chociaż mniej głośnych niż upadłości giełdowe.

Nie mieliśmy u siebie wiedeńskich krachów, ale także stawaliśmy na kartę, to co do nas nie należało, kupując milionowe fortuny za posag żony, za sumy małoletnich, za schedkę ojcowską, wreszcie za słowo honoru—obwarowane poręczeniem pachciarza. Za niedolęgę uchoił ten, kto trzymając się przysłowia—wedle stawu grobla, nie obciążał hypoteki długami, kupował ziemię bacząc na to, aby dla prowadzenia gospodarstwa zostawić nieco gotówki. Hazard ten udzielił się wszystkim—jak na wsi kupowano majątki, tak w mieście zakładano handel, wydawano bale, robiono wyprawy godne mitry i posagu ordynatówny. Ten animusz był karykaturą słów poety, zaraził on i waszego sługę, który wówczas tęsknił... do pierwszego fraka.

Pierwszy frak dla studenta tyle ma znaczenia co patent dojrzałości, co wyświęcenie na obywatela—febra mię trzęsła, kiedym wszedł do sklepu krawca, którego synom miałem dawać korepetycje. Przeszło sto fraków wisiało na stalugach i w szafach a ja nie miałem żadnego, więc bez wahania obowiązałem się uczyć dzieciaków przez cały rok bezpłatnie, byłem tylko mógł dziś jeszcze wystąpić u kuzynek na wieczorku we własnym garniturze. I zostałem dziedzicem modnej szaty, jak inni zostali dziedzicami dóbr ziemskich z parkiem, pałacem, z karczmami przy rozstajnych drogach. Frak ulokowałem na hypotecę sumienia—dotrzymałem umowy święcie, uczyłem rok cały darmo ale w końcu frak mi obrzydł, jak obrzydnie hypoteka, do której co miesiąc trzeba jakiś dług dopisać a nigdy nic wymazać.

Dziś przyszedłszy do rozumu, losy nas wyćwiczyły; jesteście rozważni, umiemy się oglądać na jutro, obywamy się nieraz bez futra, chociaż mróz dokuca. Nawet Towarzystwo sztuk pięknych nie myśli jeszcze budować dla siebie pałacu, a przecież już posiada w gotówce przeszło 50,000 rs.; pieniądze to zasługa zabiegliwości Towarzystwa, ale wstrzeźliwość to dziecko doświadczenia, które nas srogo wytargało.

Przed laty, w epoce mojego pierwszego fraka, z takim kapitałem zaczynały się interesa milionowe; i Towarzystwo nie pytałoby się zkąd weźmie na okna, drzwi, kominy, na dach—byle tylko miało na fundamenty i ścianę frontową. Ta powolność oddala nas nieco od rodowodu orla a spowinowaca z żółwem, ale na tém nasze bezpieczeństwo zyskuje, bo i na finansowych orłów już są iglicówki.

W roku zeszłym okręty francuzkie, wyprawione na Atlantyck, zwiozły do Muzeum historii naturalnej w Paryżu moc dziwolągów z dna morskiego a przyrodnicy przyznali się, że w morzu wszystko jest dla nich jeszcze nowością. Tak samo powinni uderzyć się w piersi psychologowie, którzy niby już zbadali do głębi człowieka, osadziwszy duszę jego na empiryzmie, jak chłopak okrutny osadza chrabąszcza na szpilce; ale czy oni domyślają się, że i między ludźmi są dziwotwory, wytworzone z połączenia się dobrowolnego przymiotów żółwia z przymiotami orla?

Do tego gatunku należą owi dobrodzieje ludzkości, którzy z żółwią cierpliwością zbierają przez całe życie grosz po groszu a w końcu, kiedy już dusza przeczuwa zachód słońca, z orlim impetem oddają wszystkie swoje zasoby biednym, sierotom, fundują szpitale, kościoły, przytulki...

Do tego gatunku należy także p. Feliks Gebetner; żółwem on był przez całe życie, jako zbieracz galeryi obrazów i antyków, orłem został z chwilą, kiedy wszystkie skarby swoje złożył w ofierze Muzeum przemysłu i rolnictwa, z tém idealnym zastrzeżeniem, żeby zbiory jego nosiły nazawsze nazwę Gebetnerskich. Ta szlachetna ambicya należy także do przymiotów orla—sam żółw na nią by się nie zdobył.

Kto nigdy nic, nawet starych kart ani cybuchów nie zbierał, kto się do niczego sercem nie przywiązał, kto nigdy się nie zamykał na klucz aby popatrzeć w oczy pamiątkom, wspomnieniom, uśmiechom i łzom zaklętym w zapisanym papierze, obrazku, w zasuszonym kwiatku, w odłamku zbroi lub cegielce ze starego domostwa, ten nie rozumie poświęcenia p. F. G. Zasługa jego jest wielka, poczciwość serdeczna; kiedy inni potentaci bogaci, potomkowie wielkich rodów całe galerye i muzea wywożą zagranicę na sprzedaż, utrzymując, że nasz kraj zaubogi jest aby się mógł bawić w uczonego i artystę, wówczas człowiek co całe życie ciężko pracował jako nauczyciel muzyki, a mógłby za sprzedane zbiory kupić sobie intratną kamieniczkę—oddaje je wszystkie bez renty, bez indemnizacyi żadnej, oddaje dla społeczeństwa, które jest istotnie uboższe od wszystkich społeczeństw europejskich. Za taki dar gdzieindziej otrzymałby tytuł barona a przynajmniej palmę akademicką—u nas tylko serdecznym „Bóg zapłać” mu zapłacą; ale i „Bóg zapłać” to tytuł szlachecki, to order nie sankcyonowany wprawdzie przez żadne państwo, lecz rozdawany za czyny najpiękniejsze, na jakie zdobyć się może człowiek wielki i prostaczek.

Nie poprzestając na ofiarowaniu swego zbioru Muzeum przemysłu i rolnictwa, p. F. G. kwestuje ciągle a pomysłnie na Muzeum sztuk pięknych; w owej sumie pięćdziesięciotyśięcznej nie jedna garść jest jego. Kwestarz jest upartym a pomysłowym; wynajdzie on zawsze drzwi do których warto zapukać o składkę, słowem ujmie człowieka głuchego na jęki piersi i dzwonów, a tak dobitnie umie przedstawić pożytek, jaki Warszawie da Muzeum, że nawet rzemieślnik, co zawsze pyta czy z mąki chleb będzie—nie odmawia składki, że nawet dziecko przysłuchujące się rozmowie kwestarza z rodzicami, rozbija swą skarbonkę.

Na téj pasy szanownego nauczyciela korzysta nawet etyka pedagogiczna—nie gniewa on się już na niepojętne lub leniuszkowate uczennice swoje, nie straszy powtarzaniem tych samych gam, etiudów przez trzy dni z rzędu, ale każde zamiedbanie, każdy fałsz fortepianowy i paplanie klawiszowe opłaci podatkiem na Muzeum... Uczennice chętnie na ten okup się zgadzają, a że nie każda ma skarbonkę, więc uczy się oszczędzać; bo warunek nauczyciel kładzie, aby ofiara na Muzeum nie była wyjętą wprost z woreczka mamy lub taty... Zły duch w téj chwili podszeptał mi życzenie, aby szanowny profesor miał jaknajwięcej uczennic złych i niedbałych—bo na téj fatalności Muzeum wieleby zyskało.

Dziesięciu, pięciu takich kwestarzy na Warszawę, drugich dziesięciu na prowincyę, a suma potrzebna na zbudowanie gmachu zebrałaby się w oka mgnieniu. P. F. G. nie jest sam, pomagają mu inni ludzie dobrej woli, ale nie każdemu idzie tak jak jemu po masle, nie każdy potrafił zdobyć sobie przywilej egzektora, któremu wymówić się niepodobna. Energii naszemu kwestarzowi dodaje pewność, że dzisiejszy komitet Towarzystwa sztuk pięknych nie osiadzie z Muzeum na mieliźnie.

Komitetowi Towarzystwa dobra jakaś wróżka radzi, każdy jego pomysł jest praktyczny i sympatyczny zarazem—co nie zawsze w parze chodzi; odświeżanie atmosfery sztuki miejscowej dziełami artystów obcych—wydało rezultaty bardzo dobre dla kasy Towarzystwa, dla artystów i dla publiczności, która już krzywi się, jeżeli malarz chce ją zadowolnić jakim wózkiem w kałuży, szkapą na trawie, kolkiem w płocie lub chłopkiem pijanym... Przed niedawnym czasem takie dropie Chełmońskie, przysłane na konkurs tegoroczny, bardzo by się podobały wszystkim a może i członkom komitetowemu, dziś jedni i drudzy dropie dziwaczęcego artysty wypłoszyli z wystawy ostrą naga-

na, jaka Chelmońskiego nie spotkała nawet za owe okropnie oryginalne ilustracje do powieści Kraszewskiego, którymi przed kilkunastu laty Biesiada miała nieszczęście swój żywot rozpocząć. Za owe dziwolągi rysunkowe zemściły się nareszcie dropie, wypuszczone na stopy zarosłe salata; ale dalibóg zemsta nie robi mi przyjemności, wolałbym widzieć Chelmońskiego w każdym calu jego talentu artystą szanującym siebie i rodaków, którzy gorzej płacą niż amerykańanie, ale lepiej potrafią cieszyć się sławą swoich. Chelmońskiego zawstydził Brandt, z którego dzieł komitet Towarzystwa urządził wystawę na dochód przyszłego Muzeum.

Kiedy wejdiesz do saloniku zawieszonych obrazami znakomitego malarza, czujesz, żeś wszedł w wyborowe towarzystwo, pomiędzy ludzi, którzy swój podpis szanują zarówno na liście do sąsiada, jak na uniwersale z pieczęcią królewską. Widzisz obrazy wielkie, mniejsze, małe i malutkie, widzisz szkice i płótna wykończone, widzisz prace młodzieńcze i prace które do nazwiska Brandta dodały — „znakomity”, ale nigdzie nie dostrzeżesz najmniejszego wykroczenia przeciw przyzwoitości artystycznej, najmniejszego zapomnienia o tém, na co artysta przysiągł biorąc pędzel do ręki. Pod względem godności, że tak powiem szlachectwa artystycznego, wszystkie obrazy są sobie równe — tak samo przy obrazku jednym z pierwszych „Puk, puk w okieneczko” jak przy ostatnim „Tracze” jesteś pewnym, że to malował człowiek dobrze wychowany, światły, ceniący klejnot, jaki na świat z sobą przyniósł. Ta przyzwoitość nie skrępowała Brandtowi skrzydeł — wzbijał się on swobodnie w sfery poezyi i znosił na ziemię uroki, jakich nasz szary zagon nie iodzi. Wielki jego obraz „Bitwa chocimska”, w której wysunięty na czoło bitny hetman Czarniecki jest postacią z legendy wywołaną a mimo to z krwią i kością — to dzieło natchnienia, które po treść sięgnęło do katakumb dziejowych. W tym wielkim dramacie, role rozebrały bohaterstwo wodzów i ślepe męztwo żołnierza, człowiek i szabla, step bez granic i chmury gromowe — wszystkie żywioły artysta do gry wprowadził, a jednak na obrazie niema chaosu, nie czuć końca świata... zwycięzcą będzie wódz sędziwy. „Bitwa chocimska” nie porywa, nie ogłusza, ale przytrzymuje oko i myśl — można patrzeć na te tłumy nacierające na siebie bez drżenia; artysta potrafił z niej zrobić zapasy wspaniałe, a bitwa wspaniała tylko dla tchórza bywa straszna.

Szkoda, wielka szkoda, że nie możemy oglądać drugiego wielkiego obrazu Brandta „Powitanie stepu” — kupiło go muzeum w Królewcu; niemcy cieszą się arcydziełem, chociaż jego wszystkich piękności nie rozumieją. Ten poemat kozacki brzmi Niemcom po chińsku, nie rozumieją oni ani dumki, ani szumu traw stepowych, ani rozkoszy z jaką kozacy wciągają w pierś swą mgły stepowe. Królewiec dla „Powitania stepów” to wzięnie zamurowane.

Zywiol stepowy jest najpożądanym dla Brandta, zawsze do niego powraca, z pracowni swój wychyla co chwila głowę, aby na step popatrzeć — jak wychyla ją czumak z pod wozu na obrazie, aby zobaczyć czy zamieć w jego stronę śnieg wali.

Kto chce użyć prawdziwej biesiady artystycznej, ten niech idzie zobaczyć wystawę Brandtowską; powita go na wstępie śliczna w bronzie odlana „Pasterka” Marcinkowskiego, obdarzona w Salonie paryzkim honorową nagrodą. „Pasterka”, smągła dziewczoja wiejska, bosa, w chustce okręconej na głowę, obrywa listki i rachuje, czy na ostatni wypadnie miłość czy tylko kochanie... chociaż pewna jest miłości, na którą Jasiiek zaklinał się, kiedy kładł jęj na szyję korale z jarmarku.

Nie wiemy dlaczego na tę piękną pracę młodego a wielce utalentowanego artysty tak mało zwrócono uwagi, dlaczego „Pasterki” nikt nie kupił. Cena jęj jest zaciężką na kieszeń zwyczajnego śmiertelnika, ale to piguleczka dla tych, co sprządzają z zagranicy umeblowanie do swoich salonów i gabinetów, dla tych, którzy za nic... bo tylko za jaki taki tytuł i odrobinę męzkości biorą w posagu miliony. Radzimy tym nieszczęśliwym zaprzedańcom kupić sobie „Pasterkę” bronzową; będą mieli na czém zatrzymać oczy zmęczone udawaniem miłości dla kobiety, której, gdyby nie miała grubego posagu, zawiesiliby kamień u szyi... w celu wiadomym.

Nasyciwszy się prawdziwą pięknnością, nie boję się głodu w towarzystwie artystów, którzy na tegoroczny konkurs nade-

ślali swe malowidła i rzeźby. Malarze nie popisali się, temata ich obrazów oklepane, wykonanie słabe, nawet nie widać dobrej chęci, co z przedmiotu daje pałkę, ale piątkę za pilność.

Zniechęcenie tegoroczne jest może winą poprzednich konkursów: nagrody otrzymywały dzieła, które nie podobały się ani artystom ani publiczności; nie była to czarna intryga, ale mylił się sąd komitetu konkursowego, który także miewa chrypki i katarę. W tym roku należało jednak przyznać nagrodę p. Trebaczowi, artyście z Krakowa; jego „Samarytanin” posiada bez porównania wyższą wartość niż niektóre obrazy nagrodzone na poprzednich wystawach. Dlaczegoż taka niesprawiedliwość? dlaczego po zbytnej hojności taka zbytńia ostrożność?

Zato rzeźbę osądzono życzliwiej — pierwszą nagrodę za „Thetis błagającą Jowisza o łaskę dla Achillea” otrzymał p. Lewandowski, drugą p. Rygier za „Kopernika”. Tegoż artysty „Góralczyk” znalazł już swego pana, co się w marmurach może kochać skutecznie.

Szkoda, że do konkursu nie oddano obrazów „Pod Twoją obronę” i „Zbieranie rannych” — nagrody byłyby dobrze umieszczone, są to bowiem dzieła sympatyczne a cenne jako malowidła i kompozycje. W „Krainie piękna” spotkacie się z niemi na dłuższą chwilę, a teraz nacieszywszy się żywymi, westchnijcie ze mną za duszę ś. p. Jana Grejma, młodego artysty, który umarł w Kamieńcu podolskim, zabierając z sobą pociechę, jaką swym talentem i sercem niósł ojcu swojemu, znannemu lubownikowi sztuk pięknych i starożytności; zabierając nadzieję, jaką swemi pierwszymi pracami dał społeczeństwu.

Z wystawy warszawskiej pamiętamy jego „Golgotę” — więcej dzieł nie widzieliśmy, ale możemy wierzyć znawcom, którzy z serdecznym żalem obliczają, ile przez śmierć młodzieńca sztuka nasza straciła. Janek, jak goieszczotliwie nazywano, poświęcił się malarstwu religijnemu i historycznemu; w katalogu prac jego widzimy temata z życia proroków i świętych, widzimy świat Ewangelii; jakaż to piękna dusza, co się kochała w świętości, co schodziła na medytacje do katakumb męczeńskich.

Trudno być prorokiem między swoimi, a jednak młodego artystę ceniono w rodzinnym gnieździe; zgon jego cichy, bez skargi, ścisnął serca; czuli wszyscy, że odprowadzają do grobu człowieka, któremu niebo dało znamię wybranych. Spółczucie mieszkańców Kamieńca nie zwyciężyło piersiowej choroby ale przynajmniej dało ulgę w młodzieńcowi, który w swém życiu poznał Golgotę.

Sęp.

HERB NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

VI.

O małą milkę od tego ustronia bieleje domek mały. Na ganku siedzi młody mężczyzna z podpartą głową; patrzy przed siebie zamyślony. Przed nim wije się droga do góry, przeskakuje potok kilka razy i gubi się w zielonym lesie.

Przy nim siedzi kobieta starsza.

— Nie wypieraj się, Józefie — mówi do niego — bo to wszystko jasne jak na dłoni. Sam siebie oszukujesz i chcesz wmówić w nas co innego.

Pan Józef potarł ręką czoło i odetchnął głęboko.

— Przyznam ci się — odpowiedział po chwili — że sam siebie nie poznaję. Coś się ze mną dzieje, coś mi świat przed oczyma zamąca; jakieś widma nęcą i straszają mię zarazem.

— Nic dziwnego, pojedynek cię rozdrażnił. Jeszcze nie uspokoiły się twoje nerwy.

— Alboż mnie to pierwszszyna?

— Wiem o tém, ale wrażenie pozostaje zawsze czas niejaki. Kilka chwil trwało milczenie; brat i siostra patrzyli w zamyśleniu na podwórko. Leżały tam różne sprzęty gospodarskie, świadczące o niepomyślnym walce rolnika z naturą.

Przy małej studziencie stał wóz z dyszlem złamanym o trzech kołach, czwarte leżało obok z pękniętym dzwonem; jakiś próg skalisty nie pozwolił rolnikowi dojechać do celu, a wehikuł gospodarski poszedł do zaimprovizowanej infirmary. Krzątał się koło niego chłop dobrze siwy, w szarej koszuli, pukając siekierą po wszystkich członkach jego, czy nie są gdzie złamane. Przypatrywało się tej operacji stado ciekawych prosiąt; wóz ten przywoził im nieraz różne delikatesy z pobliskiego ogrodu — dzisiaj stoi próżny i na duchu jakoś podupadły. Lepiej poradziły sobie gęsi; nie znalazłszy nic na wozie mimo skrzących poszukiwań, poszły do dziurawego koryta i piją wodę, jakby po smacznym obiedzie. Wszystko to obserwuje zdala wół roboczy, zadumany jak filozof ze szkoły stoików; wóz ten ciężko dał mu się we znaki, czego dowodzi ciemna smuga od jarzma na szyi; dzisiaj wypoczywa biedny niewolnik, bo despota raczył sobie członki połamać. Stojące przed stajnią woły w jarzmie, które od świtu mierzwę na górę wywożą, patrzą z pewną zawiścią na wolnego towarzysza, któremu ta chwila swobody tak się podoba, że nawet rzuconej pod nogi trawy jeść nie chce.

Taki obraz roztaczał się przed gankiem górskiego dworku; był on może malowniczy w duchu szkoły flamanzkiej, ale dla górskiego rolnika był tylko dowodem, że ziemia jego nie jest eldoradem gospodarstwa.

Sytuacja ta pogorszyła się jeszcze znacznie, gdy z ciasnego dworku wyszły trzy starsze kobiety i w równych odstępach obeszły podwórze dokoła. Jedna miała żółtą chusteczkę na głowie, druga liliową a trzecia, z resztkami czarnych włosów, czerwoną. Jedna prawiała coś prosiętom, że dużo jedzą; druga to samo wyrzucała gęsiom, a trzecia gniewała się na wołu, że chwastu z ogrodu jeść nie chce, tylko na siano sobie zęby ostrzy.

Po tym epizodzie nastąpiła druga scena. Dwie młode dziewczynki wypadły z sieni i zaczęły na wyścigi biegać po trawie; trzy ciocie napominały je do oszczędzania nowych bucików, które dopiero co przywiózł pachciarz z Żyrowa. Oprócz tych widomych mieszkańców małego dworku, słychać jeszcze było w wewnętrznych komnatach inne poważniejsze głosy; wychodziły one swobodnie przez małe otwarte okienko i dostawały się wyraźnie do uszu siedzących w ganku osób.

— Chciałabym jaknajprędzej tego doczekać—mówił głos starszej kobiety — aby na starość spocząć sobie wygodnie. W kłopotach gospodarskich niszczy się tylko zdrowie; jak nie ma pani Antoniowa młodo i dobrze wyglądać, jeżeli cały dzień w puchach leży, po dywanach chodzi i co roku do wód zagranicznych jeździ. Na balach dobijają się młodzi kawalerowie o nią do tańca. Ale kto od rana do nocy musi ze stajni do chlewa chodzić, na dziewczki krzyżeć i jeść co Bóg dał, ten musi się przed czasem postarać. Gdybym choć rok tak żyć mogła jak żyją Pałacyskach!

— Coś aspani od dwóch tygodni zaczęto o tych Pałacyskach mówi—odpowiedział głos starszego mężczyzny—a ryba od głowy śmierdzi. Nie tylko jedna, druga i trzecia ciocia o tym papla, ale nawet Jędretek, jak sam słyszałem, mówił coś o tym do Maryanny; pocóż to takie rzeczy po domu rozprowadzać, jeżeli one nie mają sensu. Józef ma już narzeczoną, a jeżeli zapragnie pałacu, to mieć go będzie, bo ma za co kupić.

— To prawda, ale co innego jest kupić a co innego wejść do gotowych już stosunków pałacowych. Na człowieka, który się czegoś sam dorobi, patrzą zawsze ludzie z góry, jak na dobrokiewicza; gdy zaś, choćby za swoje pieniądze wejdzie do znaczniejszego rodu, to stanie odrazu na wyższych nogach.

— Aspani zawsze masz swoje! Jest to miło być w stosunkach z ludźmi zajmującymi wyższe stanowisko, ale dobijać się tak bardzo o to nie warto. Każdy jest panem na swojej grzędzie.

— Czyż to majorowi nie pochlebiało, gdy pan Edmund z panem Achilem na wyścigi chcieli mu przedwczoraj fajkę zapalić, której na długim cybuchu nie mógł już dojrzeć.

— Usługa taka należy się weteranowi.

— Czemuż taka sama usługa pochodząca od pana Jędreteja lub Wojciecha nie wprawiła go w tak dobry humor? Opowiadał waś o tym dziesięć razy księdzu proboszczowi w przeciągu jednej godziny, a stąpał przy tym tak hardo jak kogut z Kochinchiny pomiędzy polskimi kurami...

— Pani nie zapomniła jeszcze żartów, a czas by już było zamienić je na wielkopostne medytacje.

— To samo mogę powiedzieć i majorowi.

Śmiech tubalny rozległ się teraz z małego okienka, a za nim wysunęła się biała chmura dymu, aż wół roboczy ocknął się ze swego zamyślenia.

Słów tych jednak tak wyraźnych nie słyszała para siedząca na ganku; mimo to rozmowa, jaką teraz brat i siostra między sobą prowadzili, nawiązywała się dziwnie do tego, o czym mówiono wewnątrz domu; widać, że w całym dworku panowała jedna atmosfera.

Pan Józef obmacał rękę obwiązaną czarną chustką.

— Czy cię boli?—zapytała troskliwie siostra.

— Skóra zadraśnięta, nic więcej—odpowiedział pan Józef z uśmiechem—któżby o takich ranach myślał? patrzę tylko czy się krew nie sączy.

— Szczęście, że się na tym skończyło... ale zawsze przychodzi mi do głowy pytanie, czy to wszystko było potrzebne, jeżeli...

Pan Józef rzucił się niecierpliwie na ławce.

— Powiadam ci Anusiu—przerwał siostrze—że tego nigdy nie zrozumiesz, choć jesteś starszą odemnie.

Siostra położyła rękę na jego ramieniu.

— Właśnie dlatego, że jestem starszą, rozumiem to lepiej od ciebie; przed chwilą dopiero powiedziałeś, że sam siebie nie rozumiesz. Otóż powiem ci wyraźnie...

— Cóż mi powiesz?

— Że ty... Heleny nie kochasz.

— Nie Kocham Heleny?—powtórzył pan Józef, a twarz jego oblała się szkarłatnym rumieńcem.

— Nie Kochasz jój!

— Wszak Helena moją narzeczoną.

— Między narzeczoną a tobą... stanęła teraz Aurelia.

— Czyż to nie byłoby podle z mojej strony?

Przy tych słowach spojrzął pan Józef z uwagą na siostrę.

Panna Anna zaczęła się bawić ręką białego fartuszka.

— Tak mówi honor i rozsądek... ale serce...

— Serce... serce—przerwał gniewnie pan Józef—któżby znów sercu pozwalał na wszystkie jego wybryki.

Westchnął przy tym głęboko. Siostra milczała.

— Serce—mówił dalej w rozdrażnieniu—serce buntuje się czasem przeciw obowiązkom przyjętym...

— Już źle, że mówisz o obowiązkach.

— Ależ zlituj się, przecież każdy ma pewne obowiązki i musi się z nimi liczyć.

— Od zamiaru do obowiązku jeszcze daleko.

Nastąpiła długa pauza. Pan Józef patrzył zamyślony na wołu bez jarzma i towarzyszy jego w jarzmie, jakby chciał sobie bliżej słowa siostry wytłumaczyć.

— Nie ty jeden—mówiła siostra po chwili—doświadczasz tego; złożyły się na to warunki wyjątkowe.

Pan Józef potarł ręką po czole, ale siostrze nic nie odpowiedział. Siostra mówiła dalej.

— Babunia, jako głowie osieroconej rodziny, zapisała ci znaczny kapitał. Przedtem nie miałeś odwagi pomyśleć o pannie Helenie; rodzice Heleny nie mają wprawdzie wielkiego majątku, ale dla jedynaczki swojej myśleli o lepszym losie niżeli ty jój zgotować mogłeś. Sukcesya dodała ci odwagi, żeś się mógł zbliżyć do Heleny, chociaż nie przypuszczam, aby to tylko zniewoliło jój serce.

— Przeciwnie, wiem o tym, że Helena jeszcze przed sukcesyą bardzo mi sprzyjała.

— Nie przeczę temu; nie każda kobieta Kocha wtedy, gdy czuje pieniądze.

Pan Józef posunął się niespokojnie na ławce.

— Tymczasem zmieniają się kulisy; wchodzisz w stosunki z bankierem wiedeńskim i zręczną spekulacją pomnażasz swój kapitał w krótkim czasie; stajesz się nagle bogatym i kto wie, na czym się twoje bogactwo zatrzyma. Przed miesiącem mówiłeś o kupnie Jodłówki, dziś myślisz o kluczu Sosnowieckim; sprawy publiczne zbliżyły cię do Pałacyskach, gdzie cię przyjęto z otwartymi rękami; dawniej nie proszono cię tam wcale, ani ty nie marzyłeś o tym, że przekroczyś kiedy te progi. Nic dziwnego, ty jesteś dzisiaj bogatym—tam czują tylko ciężary banków.

— Więc mówisz — poderwał szybko pan Józef — że pan Achil w tój myśli?...

— Mogę tak nie mówić... mogę wierzyć, że pan Achil nie miał żadnej myśli ukrytej, gdy cię na polowania i na obiady zapraszał, gdy wreszcie sam nas odwiedził i wszystko u nas chwalił. Jakkolwiek pan Achil nie ma prawa do tytułu arystokraty, chce jednak nim być koniecznie; pomagają mu do tego stosunki familijne i różne koneksye towarzyskie. Z tego powodu nasładowuje dobre przymioty pańskie, a do nich przedewszystkiem należy wielka grzeczność dla tych, którzy progi jego pałacu przekroczyli.

— Więc sądzisz, że oprócz tój grzeczności nie nie było? że to wszystko...

Panna Anna milczała chwilę.

— Myślę — rzekła z naciskiem — że to, co potem z tego wywiązać się mogło, było tylko naturalnym następstwem waszego zbliżenia.

Pan Józef powstał szybko z ławki i wyszedł na dziedziniec; zbliżył się do chłopca, który wóz naprawiał. Po chwili, zwrócił się w inną stronę, jakby gospodarstwa chciał oglądać. Siostra z uwagą patrzyła za nim.

Tymczasem z sieni wyszła stara kobieta, rysami podobna do pana Józefa.

— Czy mówił co Józef do ciebie?—zapytała.

— Tak jakby nic—odpowiedziała matce panna Anna.

— Rzecz dziwna, że wszystko w sobie tłumi.

— Już taka jego natura.

— Od kilku dni zmienił się zupełnie.

— Każdy to widzi.

— Mogłabyś z nim otwarcie pomówić i ułatwić mu walkę, która się w nim odbywa.

Anna ruszyła ramionami.

— Sądzę—mówiła dalej matka—że jakoś lepiej by to wyglądało, gdyby Józef ożenił się w Pałaczkach; widocznie życzą sobie tam tego. Pan Jędrzej złapał go głównie dla sukcesyi; gdy nie było sukcesyi, nikt na niego nie patrzył; jeżeli już dał się ziapać, to lepiej aby go złapano w Pałaczkach. Jest już wszystko gotowe, jest pałac, są koneksye i ton pański. W Konopówce musiano by się dopiero uczyć tego; nie wiedziano by jak dom urządzić, jak się ubrać, zgola jak żyć stosownie do majątku. A coby to było krzyku i hałasu w trzech powiatach, gdybyśmy do Pałaczk weszli! Wielu rozchorowałoby się z zazdrości.

Zacna owieczka górskiej parafii podniosła swój już i tak mały nosek do góry i zamarzyła o przyszłej roli swojej.

— Józef widocznie nabił sobie głowę panną Aurelią—rzekła po chwili panna Anna—i nic dziwnego; inna atmosfera domu, pański obyczaj, chociaż z wysiłkiem podtrzymywany i przyjacielskie prawie zbliżenie się ludzi, na których dotąd zdaleka patrzył, mogły wyrzucić na nim pewne wrażenie. Aurelia sama, jako roślina, która pod obcym niebem wzrosła, mogła mu się więcej podobać niżeli jaki kwiatek swojski; umie rozmawiać, ma ładne oczy a co więcej, umie niemi patrzeć. Helena może być najzaciejsza ale tego nie potrafi. W Konopówce jest Józef jak w domu u siebie; podczas gdy atmosfera w Pałaczkach odurza go. Jest jednak zapocziwy, aby z Heleną zerwał.

— Przecież często rozechodzą się narzeczeni; zresztą nie było formalnych zaręczyn, zamieniono tylko poufnie pierścionki; sądzę, że to nie tak bardzo obowiązuje.

Pan Józef zwrócił się teraz do ganku. Założył w tył ręce i głowę do ziemi pochylił. Matka cofnęła się do sieni, zostawiając córcę dalszą misją dyplomatyczną. Pan Józef zbliżył się.

— Czy sądzisz—rzekł zaraz na progu do siostry—że w Pałaczkach nie miano żadać z góry powziętej myśli?

— Nie mam dowodu, abym sądziła inaczej.

Pan Józef stał chwilę w milczeniu, potem usiadł na ławce.

— Przyznam ci się, że nie wiem co począć; mam to przekonanie, że Helenę kocham a jednak coś jak wichur ciągnie mię w inną stronę; widzę przed sobą jakiś świat inny, zaczarowany i, upojony tym czarem, patrzę w niego z jakimś pragnieniem niewysłowionym.

— Czy panna Aurelia rozmawiała z tobą o czémś więcej aniżeli o rzeczach potocznych?

Pan Józef machnął ręką.

— W jej słowach jest wszystko czego chcesz; dodaj do tego głębokie spojrzenia, dziwny dźwięk głosu i tę grę życia na twarzy, podwyższoną uśmiechem sympatycznym, a będziesz miała przed sobą kobietę, która już kocha i pragnie tylko być kochaną; widzę ją ciągle przed sobą i czuję, że się od niej oddalić nie mogę.

Pan Józef podparł ręką głowę i zamyślił się.

W tój chwili prawie równocześnie wjechało do bramy dwóch konnych posłańców; pan Józef podniósł głowę i poznał w jednym Grzeška stajennego z Konopówki, w drugim takiego samego funkcyonaryusza z Pałaczk; była tylko ta między nimi różnica, że jeden był bez czapki, w górskim serdaku, drugi miał czapkę liberyjną i taką kurtkę.

I równocześnie spoczęły w ręku pana Józefa dwa listy starannie zapieczętowane.

— Co porabia panna Helena? — zapytała Anna jednego z posłańców.

— Pannuńcia coś nie domaga — była odpowiedź — położyła się do łóżka.

— A jak się ma panna Aurelia? — powtórzyła zapytanie do drugiego.

— Wyjechała konno do lasu — odpowiedział.

Pan Józef nie słyszał tych odpowiedzi; wstał szybko i z listami odszedł do swego pokoju. Anna słyszała, jak drzwi za sobą na klucz zamknął.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZAKŁADNICY LWOWSCY (1672).

PRZEZ

D-ra Antoniego J.

(Dalszy ciąg.)

A jednak po rozglądnięciu się, wielkich zmian w mieście dostrzegli; ledwie dwa miesiące ułynęły od zdobycia zamku, a fizyognomia otoczenia uległa rdzennemu przeobrażeniu. Sena niegdyś mieścina, ożywiająca się tylko w dniach pewnych, nosiła teraz wybitne cechy zbrojnej placówki—około 14,000 żołnierzy stało tu pod bronią, baszów, efendich i innych oficerów lik wielki, spahowie i janczarowie snuli się nieustannie po placach publicznych, przebiegał je niekiedy czaus z depezsami z Chocimia albo z nad Dunaju, garstka lipków eskortująca jeńców, mały ezambulik tatarski, odarty i brudny, z dziką pożądliwością rozglądający się dokoła. I wysłanników Doroszenkowych bywało pełno, choć ci jakoś się cicho i spokojnie zachowywali. Na wałach miejskich w obrębie zamku ruch niezwykły, poprawiano tu mury, układano faszyny, kosze, zaciągano działa, około tacek uwijał się lud wiejski, ściągnięty przemocą i z trwożą spoglądający na głowy ludzkie u bram, jak makówki nasadzone na tykach ustawionych rzędami.

— Robót oglądali inżynierowie francuzcy i niemieccy, zdala od miejscowych obywateli trzymani. W mieście funkcyonowały władze tureckie, sądy doraźne wojenne; sekretarz gubernatora, Kijaja (skarbnik), stanowili o życiu i śmierci, ściągali podatki, rodzaj kontrybucyi, daleko dotkliwsze od podatku *bakszysz* (podarunki), a rodziny janczarskie, zaproszone tu z celem kolonizacyjnym, były istotną plagą dla tój resztki pozostałych dawniejszych rzeczypospolitęj poddanych. Gmina tylko ormiańska resztki samorządu zachowała, polską zniesiono zupełnie, ruska zanadto uboga nie myślała nawet o dawnych swobodach, wobec tłumy żydostwa, które tu przedtem nie miało przystępu, a dziś rozwielenione, zdobywało sobie nietylko domy pojedyncze, ale całe dzielnice. Handel trunkami, zarobowanemi kosztownościami, a p.zeważnie płcią piękną, żydzi prowadzili na wielką skalę; ten ostatni odbywał się w początkach publicznie na rynku ormiańskim, pod ratuszem... Bóg tylko jeden wie, wiele tam łez wyplakały piękne podolanki; z czasem atoli łakomstwo tureckich urzędników, narażające na straty owych handlarzy żywym towarem, zmusiło ich do pewnej oględności.

Świątynie stały nieme i milczące, głosu dzwonka nawet sygnaturkowego nie słyszałeś, chyba gardłowy krzyk modły, wzywającego wiernych na modlitwy; do dawnej katedry przystukowano drewnianą wieżę, by na niej olbrzymi osadzić półksiężyc; kościół karmelitów, już do połowy zburzony, sterczał jak ruina; u jezuitów był skład efektów wojskowych. Do Boga chrześcijańskiego modlono się w najuboższych przybytkach, bo wspinał się obrócono na meczety. Było tu jeszcze dwóch kapłanów łacińskich od św. Łojoli, jeden z nich ks. Maciej Szornil, wschodniego obrządku ks. Krakówka, na czele kilku ormiańskich stał pobożny ks. Grzegorz Balsam ze Stanisławowa, staczający walki nieustanne z Janem Batagroglu, wychowawcą Fatynów, nałogowym człowiekiem i przeciwnikiem niedawno zawartą unii kościoła łacińskiego z ormiańskim. Kolonia ormiańska zresztą trzymała się dobrze, targując się z rządem nowym o przywileje i pewne swobody, od zachowania ich czyniąc zależnym pobyt swój w mieście pogranicznym.

Na ulicach spotykałeś wylekłych mieszczan, kobiety ukrywały się po domach, stosując się do nowego zwyczaju; do zasłon jeszcze nie nawykły, a bez nich niebezpiecznie było występować publicznie. Należy im wszakże oddać słusność, pozostały wierni obrządkowi chrześcijańskiemu, choć ich mężowie, skuszeni obietnicami czy też koniecznością, przedzierzgnęli się w wyznawców Mahometa (*).

Nasi lwowscy „obsides” nie bardzo się wygodnie rozlokowali, ośmiu umieszczono w dwóch izbach, zakładnicy bowiem „przewierni” prędko porozumieli się z baszyńskimi urzędnikami i zaraz po pierwszym już ich nie stało sabbacie. Utrzymywano, że jednowiercy za dobrowolnych czy przymuszonych jeńców okup niewielki złożyli (**). Smutno tu było lwowianom; do pracy i ruchu przyzwyczajeni, rzadko się wychylali na świat Boży, by się na przykrości i naigrzanie nie narazić; tylko d-r Szymonowicz otrzymał pozwolenie odwiedzania chorych, często go też do zamku wzywano, gdzie z powodu ostrój zimy, choroby ciężkie między turecką załogą panowały. Nenko zaczął niedomagać, Laurysiewicz z Jaśkiewiczem snuli projekty handlowe, Bernatowicz rozglądał się dokoła, nasłuchiwał, zbierał nowiny, by je potem przesłać komu należy przez zaufanego obywatela.

Pierwsza odezwa zakładników skierowana była do braci lwowian, z modłą by radzili o wykupie; skryptor, niby właściciel domu, w którym zamieszkali czasowo, wyrażał podziwienie, dlaczego to mieszczan a nie ziemian przysłano do Kamieńca w „zastawę”, toć szło nietylko o miasto, ale o całe województwo. „Niebożęta w wielkim są smutku i frasunku, dać się dobrowolnie za kogoś nędzę i zniewagę cierpieć”; w końcu dodawał, że jeżeli okup rychło złożony nie będzie, to nieprzyjaciel znowu wojnę rozpocznie (**). Święta im upłynęły spokojnie, dopiero bowiem w końcu stycznia 1673 roku powrócił Halil basza z wędrówki nad Dunaj, kędy odprowadzał padyszacha. Kazano się stawić zakładnikom przed obliczem wielkorządcy; mieszkał on w starym pałacu biskupim, przy placu ormiańskim, tuż obok kościoła Dominikanów, na jego prywatny meczet obróconego. Jeńcy okoleni janczarami, długo wśród rynku czekali na gubernatora, a tłum zebrany ciekawie się im przypatrywał. Nareszcie wyszedł okolony starszszą, obrzucił wylekłych patrycyuszów dumnym spojrzeniem, kazał sekretarzowi spisać ich nazwiska i stan, a potem pytał, czy prowizją otrzymują w całości? „Powiedzieli że słaba, gdy tylko codzień trzy oka mięsa, siedm placzków, trzy świece, a przez wszystkie czas trzy wózki drew odebrali”. Kazano im dać gospody *cum praecotione* (z warunkiem), by w lepszej ostrożności zostawali” (****).

W Polsce tymczasem sejm się zbierał, ten sam, który się to dostał do dziejów pod nazwą Pacyfikacyjnego; już w styczniu elekcji zjechali na obrady. Mówiono i o zakładnikach, stanęła konstytucya, na mocy jej sumę należną ze Lwowa postanowiono wypłacić ze skarbu koronnego (*****). Asumpt do zaopiekowania się biednymi jeńcami dał wysłaniec od Halila baszy, przywiózł on list do podkanclerzego; w liście gubernator paszalyka-

tu podolskiego napierał się „okupu Lwowa” i dziwił, że Rzeczpospolita z jego panem statecznego nie zachowuje pokoju (*). O wysłaniu *czausa* do Polski wiedzieli i zakładnicy, pisali bowiem, że ich „w lepszej zostawują obserwacyi”, ale tylko do czasu powrotu wysłańca, jeżeli ten pieniędzy nie przywiezie, spodziewać się mają kajdan i dalszego więzienia (**). Jakoż groźbę zaczęto w rychle stosować; już w połowie kwietnia tego 1673 roku przetranslokowano biedaków do innego mieszkania, zamknięto w ciasnej komorze, nie wypuszczano na krok, w nocy zostawali bez światła; widocznie obawiał się basza, by się nie ratowali ucieczką, bo kilkunastu janczarów strzegło ich nieustannie.

D-r Szymonowicz w imieniu kolegów niedoli wystosował suplikę do podkanclerzego, do hetmana w. k., wyobraził w nich rozpaczliwe położenie, gdyż oto termin okupu minął, pierwsze pół roku spędzili pod kluczem, gotowi są i na dalsze cierpienia, jednak chcąc załatwić sprawę korzystnie dla Rzeczypospolitej, rozpoczęli rokowanie z urzędnikiem tureckim, posiadającym zaufanie wezyra kamienieckiego, a w tym właśnie czasie gubernator miejscowy do tej godności podniesionym został; urzędnik zapowiedział, że rząd gotów zrobić ustępstwo, że okup przyjmie nie samem złotem, ale fantami kosztownymi i klejnotami, a te łatwo mógłby dostawić p. Gabryel Silnicki, kasztelan czernihowski, jako jeden z komisarzy królewskich przy podpisywaniu traktatu Buczackiego i jako najbliższy sąsiad graniczny nowo do Turcyi odciętego kraju (***).

Naturalnie, że Butachowicz pośredniczył w tej sprawie, wysłał poufne z papierami do Warszawy, a jednocześnie i ks. Krzysztof Szymonowicz, powinowaty doktora, wikaryusz przy miejscowej katedrze ormiańskiej, o którego „anielskiej obyczajności”, tak dużo powiada ks. Pidou (****), wymknął się do Lwowa, by spróbować, azali mu się nie uda zmięczyć serca współbraci i zachęcić do dania pomocy jeńcom kamienieckim. Wiózł wyrazy pozdrowienia od nich rodzinom i pokrewnym, wiózł błogosławieństwo i zachętę do wytrwałości w smutnych życia kolejach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WALKA U STÓP OLTARZY.

Do cichój, spokojnej, na uboczu od wielkich dróg wojennych leżącej wioski francuzkiej, wpadł niespodzianie oddział pruski i począł gospodarować po swojemu. Zwykłym obyczajem pochwylił kilku bezbronych wieśniaków, aby uczynić ich zakładnikami, których życie zależeć będzie od ścisłego wypełnienia jego żądań. Przydybani zniecka, strwożeni, rozpaczeni, zebrali się na naradę. Ale co tu radzić! Trzeba jaknajprędzej zaspokoić wymagania najeźdźców, których lufy karabinowe zwrócone ku zakładnikom, grożą im śmiercią. Więc rozbiegli się wszyscy, żeby zabrać z domu co się da i rzucić w paszczę temu Molochowi, który się przywłókl aż z nad Sprei. Czy zdołają zebrać tyle, żeby cheiwość jego zasycić?...

Na placu, przed kościołkiem, została tylko gromadka starców, którzy synów i wnuków wysławszy do domu, sami trwożnym okiem śledzą zdala postawę i ruchy wrogiego hufca.

Naraz jakiś dziwny ruch wszczął się między nimi. Ożywiły się twarze, oczy zabłyśły, spoglądając po kolei to na wrogów, to w kierunku wskazywanym im przez jakiegoś chłopczykę, który przed chwilą pędem wpadł między nich. Zdyszany, ledwie dwa słowa zdołał wymówić i wskazać ręką — ale słowa te i ruch wystarczyły aby zelektryzować starców gromadkę. Słowa brzmiały: „Nasi idą!”, a ruch oznaczał zjazd.

Ruch ten nie uszedł uwagi oficera. „Baczność!” zakomenderował, a wtem błysnęły zdala bagnety piechoty francuzkiej.

(*) Dupont—Mémoires. Varsovie 1885, s. 219 i dalsze.

(**) Korespondencya prywatna (rękopis).

(***) Grabowski—Ojczyste spominki, 11—194.

(****) Grabowski, l. c. 11—198.

(*****) Vol. Leg., V, 80.

(*) Akta historyczne, 11, 1191.

(**) Grabowski—Ojcz. sp. 11, 201.

(***) Grabowski—Ojcz. sp. 11, 104, 205. Korespondencya prywatna

(rękopis).

(****) Dzieje zjednoczenia ormian, s. 110.

będzie do gry w lawn-tennis, jazdy na welo-cypedach i innych rozrywek na otwartym powietrzu.

Cech krawiecki, który w pobliżu ma swój dom przytułku, ofiarował 20,000 f. st. na założenie szkół technicznych i warsztatów, gdzie rzemieślnicy praktycznie wykształceni uczyć będą młodzież główniejszych rzemiosł. Rozmiary gmachu obliczone są na pomieszczenie 20,000 uczniów. Istnieje zamiar rozszerzenia tego planu i włączenia doń wyższych nauk, tak, żeby pałac ludowy stał się z czasem uniwersytetem dla dzielnicy East End.

Jednocześnie nie zaniedba się niczego, co służy do rozrywki i zabawy; będzie tam ogród zimowy i sala koncertowa, biblioteka i sale do czytania, do fechtunku i t. d. Lord Roseberry dostarcza funduszu na założenie szkoły pływania. W obszernym ogrodzie muzyka będzie grywała podczas lata wieczorem, a żeby rzemieślnicy po całodziennym pracy mogli wraz z dziećmi i żonami mieć przyjemność i wytchnienie na świeżym powietrzu.

Główny gmach, którego szkic podajemy, zbudowany będzie z czerwonej cegły i białego kamienia w stylu wschodnim. Naprzeciw wjazdu wzniesiony zostanie portyk pół-okrągły z kolumnadą, uwieńczony kopułą; z dwóch stron kopuły będą lekkie wieżyczki ze złożonymi minaretami. Wielki przedsiönek pod kopułą służyć ma za miejsce zabawy dla dzieci podczas niepogody, wieczorem zaś robotnicy będą mogli się tam zbierać dla wspólnej gawędki.

Zakres tego przedsięwzięcia jest olbrzymi, ale znana wytrwałość i praktyczny zmysł Anglików pozwalają wnosić, że dzieło zostanie doprowadzone do końca i stanie się ogniskiem nauki i zabawy tysięcy ludzi, pozbawionych dotąd jednej i drugiej.

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Książeczki z poezjami dawniej należały do rzeczy zwyczajnych, dziś przypominają nam jaskółki niebaczne, które przedwcześnie opuściły ciepłe kraje. Naraz aż dwie takie ptaszynki pod dach nasz zawitały; jedną wypuścił w świat W. Gomulicki, który uczciwie względem siebie i społeczeństwa postąpił, że pozbiierał perełki i inne drogocenne muszle i kamyki, które rozsyppwał przez lat kilkanaście po drodze dziennikarskiej, nie pytając czy wiersze jego będą drukowane na bibule czy na welinie. Jest on poetą nie tylko wówczas kiedy rymami dzwoni, ale i w prozie swojej, kiedy opowiada o Warszawie, o ludziach których znał w młodości, w dzieciństwie, których zapomnieć nie może lub nie chce.—Druga ptaszynka to „Strofy” nieznanego autora a może tylko bawiącego się w chowanego. W tym zbiorze niewielkim są obrazki, dla których warto by było wynieść z komnaty wszystkie obrazy duże, aby dla drobiazgu zrobić miejsce honorowe; najwięcej z nich wymagałoby ram czarnych, matowych, mało jasno-złoty, ale żadnego bez pięknej oprawy zostawić nie można. Odwrócił bym tylko kilka twarzy do ściany, aby nie patrzeć na ich sarkazm bolesny. Jeżeli autor „Strof” jest nowicyuszem—winszujemy literaturze nowego kochanka muzy, jeżeli zaś to tylko pisarz pod przyłbicą—dziękujemy mu za piosnki, które się miłować każą. O obu książeczkach damy obszerniejsze rozbiory, tu tylko zwiastowaliśmy poetyczną nowinę.

Dla dobrych sług ustanowił nagrodę... kto taki?... znowu p. Szymon Krzeczkowski. Oddał on dla biednych kamienicę, na kasę dla rzemieślników w Opolu lubelskim 10,000 rs. gotówką a teraz znowu wręczył 2,000 rs. Towarzystwu Dobroczyńności, z prośbą, aby procent od tej sumy był zapisywany do książeczek oszczędności tych wychowanków Towarzystwa, które oddane do służby przesłuży w jednym miejscu lat pięć. Zapisywanie ma się odbywać w każde trzecie święto Bożego Narodzenia, wobec wszystkich sierot Towarzystwa; będzie to więc uroczystość pozostawiająca w młodych sercach wrażenie na całe życie. Oszczędności będą mogły odebrać obdarowane skoro wyjdą z domu lub po dośnięciu do pełnoletności.—Zarazem p. S. K. zaproponował, aby opieka jaką Towarzystwo otoczyło wychowanków swoich oddawanych do terminu, wzięła pod skrzydła swoje także

dziewczęta. Wniosek ten jest, podług nas, nagłym; ze zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że dziewczęta oddane do służby stają się bezwzględna własnością społeczeństwa—przecież to jeszcze dzieci, przecież nie każda służba uczy dobrych obyczajów; nie przypuszczaliśmy, żeby te wątle latorośle pozostawiane były na wolę pokusy. Dzięki czcigodnemu filantropowi, który daje i nad dobrem biedaków myśli; inny zadowolniłby się tylko jednym.

Ś. p. Teofil Borzęcki, należący do najstarszego pokolenia pedagogów, zasnął w Bogu, dożywszy 86 roku. Już dawno zeszedł z pola pracy; żalobnemu pochodowi towarzyszył tylko jeden b. uczeń ze szkół Szechrzeszyńskich, w których zmarły najpierw był nauczycielem; z wychowanków jego ze szkół w Łukowie, Kielcach i Radomiu nikt się nie zjawił. Czyżby już wszyscy pomarli?

Zgon ś. p. ks. Kalinowskiego, b. dziekana unickiego, zamieszkałego w Kielcach, nastąpił w chwili, kiedy córka spełniając życzenie ojca, nieco cierpiącego, zagrała na fortepianie jego ulubioną melodyą. Słuchając—zasnął na wieki.

Dla sługi w rodzinie Krupińskich ustanowił dotacją ś. p. Teofil Krupiński, przekazawszy testamentem Towarzystwu Dobroczyńności 2,000 rs., jako zapłatę z góry za dożywotnie utrzymanie w Towarzystwie sługi, która przesłuży w rodzinie zapisodawcy lat 25. Schodząc ze świata, pozbywając się kłopotów domowych, pamiętał, że dobra służba to najlepszy przyjaciel a często i opatrność.

W Kijowie śpiewał kilkakrotnie Mierzwiński. Owacyom nie było końca, zapał po odśpiewaniu aryi Jontka z „Halki” Moniuszki doszedł zenitu. O bilety na koncert dobijano się jak o najkorzystniejsze akcje nowego przedsiębiorstwa; nawet właściciele wielkich cukrowni płacili za bilety tak hojnie, jakby fabryki ich były jeszcze Kalifornią. Patrząc na tłumy cisnące się do sali koncertowej, na powozy wjeżdżające dwornie do miasta, wreszcie na toalety dam i dobre miny mężczyzn, nikt by się nie domyślił, że jakiś tam krach cukrowniczy podkopał tysiące fortun a bieda zapisała się do stałych mieszkańców Kijowa.

Bal polski na korzyść Towarzystwa Dobroczyńności rzymsko-katolickiego w Petersburgu stał się zabawą tradycyjną; i w tym roku odbędzie się w sali klubu szlacheckiego, gdzie zgromadzi zapewne cały świat polski, nawet tych, którzy w ciągu roku spotykają się z sobą tylko w kościele lub w teatrze. Rezultat pieniężny tej świetnej zabawy bywa pomyslnym dla Towarzystwa, które głównie z tego źródła czerpie pomoc na opędzenie coraz bardziej rosnących wydatków.

Klinika psychiatryczna świeżo inaugurowana w Moskwie jest fundacją kupca Morozowa, który na ten cel przeznaczył 500,000 rs. Stałe 50 chorych korzystać będzie z tego dobrodziejstwa.

Groby na Wawelu. Przy restauracji katedry na Wawelu, pod kierunkiem budowniczego Odrzywolskiego, natrafiono na osobną kryptę pod prezbiterjum. Kiedy usunięto taffe z posadzki przed wielkim ołtarzem, ukazał się otwór ukośny, a potem grób.

Zawiadomiono o tém J. E. Biskupa, obecni zaś: kustosz ks. Polkowski, Jan Matejko, hr. K. Przezdziecki, prof. Łuszczkiewicz, prof. Sokołowski i ks. Michalski, przy świetle stoczka, ujrzeni przez otwór skrzynię drewnianą z uchylonym wiekiem.

Ks. Polkowski odmówił głośno modlitwę; Matejko z p. Odrzywolskim zstąpili do pieczary.

Uchyliwszy odstające wieko trumny, ujrzeni w niej postać okrytą materją zbutwiałą, barwy czerwonej. Na czaszce nie było śladów korony; obok znaleziono szczątki drewnianego, polzłacanego berła.

D-r Kopernicki, jako kraniołóg, wywnioskował z czaszki, że w trumnie spoczywa kobieta młoda, piękna, wysoka i z wydatnym typem energii. Mistrz Jan odrysował czaszkę oraz części berła i jabłka.

J. E. ks. biskup Dunajewski odmówił nad trumną *de profundis*.

Ponieważ grób znajduje się zaledwie o parę łokci od pomnikowej tablicy królowej Jadwigi, prawdopodobnie więc trumna mieści szczątki królewskie. Brak korony wskazuje, że grób musiał być kiedyś otwierany i wieko odrywane, o czém zresztą świadczy rumowisko pod zasłoną znalezione.

W kilka dni potem otwarto grób i trumnę znajdujące się niżej w prezbiterium.

W prostej skrzyni z modrzewiowego drzewa, oblanej smołą, leżały zwłoki pod zasłoną zgrzebnego płótna, ubrane w szaty biskupie, z jedwabną mitrą na głowie. Nie było żadnych kosztowności, tylko pierścień z jednej sztuki krwawnika bez oznak.

Matejko czaszkę razem z infułą odrysował, a d-r Kopernicki zaopiniował, że znamionuje ona mężczyznę w późnym wieku. Ani w trumnie, ani zewnątrz jej nie znaleziono żadnego napisu lub oznak, dających wskazówki co do osoby; jedynie z położenia grobu nasuwa się wniosek, że w trumnie były złożone zwłoki kardynała Oleśnickiego.

Budowa grobów jest wielce staranną; pierwszy z nich pokryty był jedną płytą, drugi zasklepiony cegłą. Tafle posadzki przykrywały obadwa.

Kiedy w ciągu dalszych poszukiwań, pod tronem biskupim wykuto w sklepieniu mały otwór, ukazał się sarkofag metalowy z herbem Nałęcz. Zgodzono się jednomyślnie, że to jest trumna biskupa Goślickiego.

Ks. Polkowski po ukończeniu poszukiwań sporządził protokół, który obecni podpisali.

Nie zapomniano o zasługach d-ra Zyblikiewicza: b. marszałek był przyjmowany w czasie sejmów lwowskiego bardzo serdecznie. Na wyprawionej dla dostojnego gościa biesiadzie, zebrano się przeszło stu posłów, t. j. wszyscy, którzy w losach Galicji mają wpływowe znaczenie. D-r Z. przemówił na temat: brutalna jest zasada „Siła przed prawem” ale—kończył po kilku oratorskich a ściśle pozytywnych zwrotach—kto chce być zwycięzcą ten siły lekceważyć nie może. „Siła jednak—myśl mówcy—nie jest jedynie w orężu, który niszczy, przedewszystkiem spoczywa ona w pracy, w staniu przy prawie i sprawiedliwości. Bądźmy więc sprawiedliwymi dla wszystkich, bądźmy posłusznymi prawu, mającemu dobro nasze na celu, bądźmy rzadni i mądrzy a będziemy silni, bez straszenia zaglądać prawa opartego na sumieniu.”—D-r Z. z hr. Janem Tarnowskim uściskali się po bratersku, było to niejako złuzowanie warty na posterunku; pocałunek był przyrzeczeniem solennym, że to co jeden zaczął, drugi kończyć będzie.—Profesor St. hr. Tarnowski wznosił zdrowie arcybiskupów i biskupów obecnych na uczcie i ze zwykłą sobie swadą rozwijał temat o naczelnictwie Kościoła, będącego stróżem prawa Bożkiego, które nie krępuje postępu ale prostuje drogi i sumienia strzeże. Ostatni przemówił ks. biskup Pelesz, zalecając wznosił słowem zgodę i miłość wzajemną, która jest podstawą prawdziwej siły i trwałego szczęścia.

„Dziewica orleańska” i „Lutnista”, obrazy Matejki, zachwycają wiedeńczyków a krytykom pism miejscowych dają pole do głębokich uwag i do oddania hołdu największemu z dzisiejszych malarzy historycznych. „Dziewica”—słowa krytyków—zniewała uwagę i serce widza, jako objawienie najwyższej miłości ziemskiej; Matejko miłość tę odczuł, jakby należał do towarzyszy bohaterki na polu wojennych tryumfów.” Krytycy nie mają dosyć słów na wyrażenie swego podziwu nad energią i typowością postaci; nie rażą ich nawet postacie świętych patronek Francji, unoszące się nad głową Dziewicy. Przyzwyczaili ich do tej ekstazy malarze niemieccy, między nimi Gabriel Max, który także nad głową Joanny, przywiązanej do pręgiarza, wysunął z obłoków rękę wieńczącą laurem bohaterkę-męczennicę. Większe jeszcze pochwały odbiera „Zgon Lutnisty”, ostatnie i najznakomitsze—słowa tychże krytyków—dzieło Matejki; zalety jego artystyczne są przedziwne a znaczenie, pomimo swjej odrębności dziejowej, tak jasne i zrozumiałe, że każdy obcokrajowiec odrazu treść zrozumie.

Czas to pieniądz, mówią anglicy, a że napisanie artykułu wymaga czasu, więc i Gladstone przyjął bez wzdragania się honorarium od wydawcy dziennika, za swą rozprawkę, która sędziwego pisarza kosztowała dwa dni pracy. Wydawca zapłacił a b. pierwszy minister wziął 250 f. st., czyli 2,500 rs.; więc za dzień literacki wypadło rs. 1,250 — to lepiej niż drwa rąbać. Pytanie, czyby wydawca zapłacił tyle gdyby nie spodziewał się, że dodatek *były*, przy nazwisku swego współpracownika, ustąpi wkrótce przed nową ministeryalną rzeczywistością.

GWIAZDA GASNIE.

POWIEŚĆ

KLAUDYUSZA MARAISEL.

Państwo Parin wydawali u siebie wielki proszony obiad. Stół, zasłany cienką bielizną, uginał się pod zastawą lśniącego srebra i kosztownej porcelany; na kryształowych podstawach piętrzyły się artystycznie ułożone piramidy rumianych brzoskwiń, które wśród zieleni otulających je liści i złocistych winogron, wyglądały jak płomienny otwór źle ugaszonego wulkanu. Wyborowe wina płynęły strumieniem; kieliszki stykały się z sobą, gwar zmieszanych głosów zagłuszał wyrazy a rzędami krzesel biesiadników, służba przesuwała się cicho, spełniając z namaszczeniem zadanie swoje.

Pani Hortensya Parin królowała jak monarchini otoczona poddanymi. Posiadała ona niezrównany talent zarządzania domem i równocześnie bawienia gości: jednym ruchem głowy i spojrzeniem kierowała służbą, jednym słowem zręcznie rzuconym umiała podtrzymać już upadającą gawędkę; w wyborze potraw i przedmiotów do rozmowy trafiała do upodobania każdego. Była to dyplomatyczna kobieta w całym znaczeniu tego słowa, a takt jej w postępowaniu, spryt wrodzony i wykształcenie byłyby z niej uczyniły istną czarodziejkę, gdyby zalety te były poparte choć odrobiną piękności.

Pewnego razu, na balu u prezydenta, Achilles Parin, będący podówczas młodą *attaché* ambasady, rozmawiał z uczonym senatorem o trudności otrzymania awansu.

— Jeżeli chcesz zajść wysoko; mój przyjacielu—odezwał się mąż doświadczony — ożeń się z panną Hortensyą Granant. Jest ona stworzoną na żonę ministra.

Achilles Parin skrzywił się nieznacznie; miał on słabostkę do Ludwiki Cointel, córki swego głównego komisanta.

— Proszę o czas do namysłu, ekscelencyo — rzekł po chwili — panna Grenant jest bardzo brzydka.

— Brzydota imponująca — mówię ci.

— A miłość małżeńska, ekscelencyo?...

— Tak, nie przeczę; miała ona swoje dobre strony przed 48-ym rokiem. Wszystko się zmieniło teraz; nastaly inne czasy. Kobieta wyższej inteligencji, to atut w grze życia. Dlategożeń się z panną Grenant, mój młody przyjacielu!

I Achilles Parin poszedł za radą senatora; ślub młodej pary odbył się w dwa miesiące po zaręczynach.

Achilles zapieczętował romans kawalerskiego swego życia i zapomniał o nadobnej Ludce. Zona przyniosła mu w posagu milion, który blaskiem swego złota zaćmił niedostatek wdzięków małżonki.

* * *

Podawano deser, a butelki szampana krążyły dokoła stołu, gdy pani Collas, żona bankiera, odezwała się do gospodarza:

— Znales pan starego Cointel?

— Rozumie się, kochana pani. Pracowaliśmy w jednym biurze, gdy byłem redaktorem spraw zagranicznych.

— Wydał dziś córkę za mąż.

— Wiem o tém. Zona moja i ja byliśmy na ślubie.

— Podobno to małżeństwo z miłości?

— Istny romans; romans w którym ja także odegrałem rolę.

— Opowiedz nam pan to! — zawołano zewsząd.

— Najchętniej. A najprzód muszę państwu przedstawić osoby. Prosper Cointel, główny komisant spraw zagranicznych, stary, zeschły, samolub, żyjący tylko dla siebie. Ludwika Cointel, lat dwadzieścia jeden, cudne dziewczę o uśmiechniętej twarzyczce. Armand Dübner, agent księgarń, lat dwadzieścia ośm; rodzice jego, pan i pani Dübner, zamieszkali na prowincji i poróżnieni z synem dlatego, że nie chciał się żenić z przeznaczoną dla niego kuzynką, starą i brzydką Cointel przepada za grą w domino i od lat dwudziestu chodzi w czwartki wieczorem na partyjkę do przyjaciela swego, starego pana Moufflard, u którego zwykle w dniu tym zbierają się goście. Ludka towa-

rzyszy zawsze ojcu, a podczas gdy starzy grają w wista i w domino, młodzież zabawia się w szarady i w gry niewinne.

Tutaj niech mi wolno będzie wtrącić coś w nawiasie.

Pewnego dnia młodzieniec przystojny o szczerój i rozumiej twarzy, wreczył panu Moufflard list od krewnego zamieszkałego w Carcassonne. Pan Moufflard odczytał list uważnie, złożył go do koperty, schował do kieszeni i podał rękę nieznanemu.

— Panie—rzekł—krewny mój poleca mi pana w nader pochlebnych dla niego wyrazach. Miło mi jest powitać go w moim domu. Słyszę, że poszukujesz pan zajęcia w księgarni; chętnie dołożę starań aby mu w tém dopomódz. Tymczasem dom mój otwartym jest dla ciebie; co czwartek zgromadza się u mnie kilka osób: paru starych przyjaciół i trochę młodzieży. Wszak zechcesz poznać nasze towarzystwo? Tymczasem, zatrzymuj cię na obiad.

Armand Dübner (był to bowiem on) z wdzięcznością przyjął zaproszenie, rad, iż na wstępie znalazł dom familijny, w którym przyjemnie będzie mógł od czasu do czasu przepędzić wieczór.

Następnego czwartku, Armand Dübner wprowadzonym został do domu pana Moufflard. Ludwika na jego widok zarumieniła się. Pod koniec wieczoru, podczas którego zabawiano się w gry niewinne, zaczęto sądzić fanty; los zawistny sprawił, iż Ludwice wypadło za karę pocałować Armanda. Dziewczyna zmieszana się, zbladła, potem zaczęła płakać... Ze swojej strony Armand niemniej był zakłopotanym... Tego dnia gwiazda miłości zablęsnęła nad ich głowami, ale tysiące przeszkód stawało na drodze wzajemnego ich szczęścia.

Stary Cointel nie posiadał nic, prócz czterech tysięcy franków rocznej pensji, z której część przypadła na emeryturę. Był to sknera i samolub zarazem; widząc, że córka wyrasta na piękną dziewczynę, obiecywał sobie wydać ją bogato zamaż i sobie samemu przez to interesa poprawić.

Co do familii Armanda, ta posiadała pewien niezależny fundusz, ale młodzieniec zostawał w nieporozumieniu z rodziną i wiedział, iż nie powinien wcale liczyć na jej pomoc. Oboje młodzi zrozumieli od pierwszego rzutu oka trudność swego położenia i powiedzieli sobie, że ciężką walkę przyjdzie im stoczyć z losem.

Pewnego wieczoru, bawiąc się w szarady u pana Moufflard, wyjawili sobie wzajemnie miłość swoją, w jedném przelotném uściśnieniu ręki, i przysięgli czekać na siebie do nieskończoności. Po tém zwierzeniu serdeczném zamknęli się w głębokiém milczeniu i nigdy więcej nie mówili z sobą na osobności. Poco im było słów, gdy oczy ich wymownie porozumiewały się z sobą?

Stan ten trwał dość długo. Armand otrzymał miejsce w księgarni Tontaint i Kolberg, z płacą trzechset franków miesięcznie. Pracował gorliwie, a widok ukochanej, którą co czwartek spotykał u pana Moufflarda, dodawał mu otuchy do znośnienia niepewności i wyczekiwania.

On milczał i ona również; nikt z otoczenia obojga nie domyślał się ani odgadywał stanu ich serca.

— I któż nareszcie wyjaśnił tajemnicę?

— Ja, droga pani Collas. I uczyniłem to zupełnie bezwiednie. Był czas, że wyobrażałem sobie, iż mam pewną skłonność serdeczną do tój małej Ludki. Pewnego poranku (byłem szalonym, ale chwała Bogu szaleństwo to nie trwało długo) udałem się do biura ministerstwa i oświadczyłem się ojcu Cointel o jego jedynaczkę.

— Oddaję ci ją, mój chłopcze, i z duszy rad jestem — odparł stary zadowolony.

— A panna Ludwika, czy przychylił się łaskawie do mojej prośby?

— Moja córka kieruje się wyłącznie moją wolą, panie Parin.

— Zatem to rzecz ułożona?

— Najzupełniej. Do widzenia, mój zięciu.

— Do zobaczenia, drogi teściu. Do jutra.

Zaledwie osiągnąłem cel moich życzeń, uczulem w sercu pewien żal i wahanie... Miłość moja dla tój czarnookięj dziewczynki, nie była silnie rozwiniętém uczuciem... Ale darmo! Zapóźno już było cofać się.

Nazajutrz, jak było umówione, udałem się do ojca Cointel, zawsze do biura.

— I cóż, luby teściu?

— Ach! panie Parin! Moja córka jest idiotką.

— Nie przesadzajmy, panie Cointet!

— Idiotka! powtarzam, zamiast, jak się spodziewałem, rzucić mi się na szyję z radości, gdy jej objawiłem żądanie twoje i zaszczytną propozycją — zaczęła płakać i rozwódzić żale jak dziecko! Nie, ojczu, nie pójdę za pana Parin—nie kocham go!

— Kochasz więc innego?

— Tak, ojczu!

— Kogóż u licha?!

— Pana Armanda Dübner.

— Co?! tego chłystka, którego spotykasz u Moufflarda? A! brzydka, niegodziwa dziewczyno! Zmaltretowałem ją nie na żarty... a teraz upewniam pana, że córka zaprzestanie stroić fochów i pójdzie za ciebie kiedy zechcesz.

— Nie, panie Cointel — odparłem — panna Ludwika podoba mi się niezmiernie i byłbym najszczęśliwszym gdyby chciała dobrowolnie rękę mi swoją oddać, ale nie ożeniłbym się nigdy z kobietą, która serce swoje ofiarowała innemu. Cofam więc prośbę moją i mam zaszczyt pożegnać pana.

W trzy dni potem, służący wprowadził do kancelaryi mojej młodego człowieka, który rzekł na wstępie:

— Panie, jestem Armand Dübner. Wiem, że oświadczałeś się pan o rękę panny Ludwiki Cointet, i że byłeś tyle szlachetnym, aby dobrowolnie cofnąć żądanie swoje. Przychodzę panu za to z głębi serca podziękować.

Prosiłem go aby usiadł. Opowiedział mi miłość swoją, przeszkody na jakie napotkała; wyznał mi ubóstwo i prosił o szczerą radę. Spędziliśmy ze dwie godziny na poufnej rozmowie; gdy wstał, aby mnie pożegnać, byliśmy już przyjaciółmi. Obiecał mnie znów odwiedzić i powiadamiać o wszystkim.

Od owiej pory, biedna Ludwika uległa takiemu prześladowaniu ze strony ojca, że o mało nie przyplącała życiem.

Cointel widząc co się dzieje, uczuł pewne zgrzyoty sumienia i zawezwał Armanda Dübnera do siebie.

— Moja córka jest tyle nedorzeczną, że kocha pana. Chciałem wpłynąć na odmienny jej wybór, ale upór kobiecy wziął górę. Oświadczam więc panu, że do dnia ślubu zatrzymuję córkę moją u siebie; potem nie chcę więcej wiedzieć o niej. Wychodząc z kościoła po dopełnieniu ślubnego obrzędu, zabierzesz pan sobie żonę. Ja umygam ręce od następstw tego szalonego kroku; uprzedzam pana tylko, że ani dziś, ani później, ani nigdy, nie możecie liczyć na najmniejszą pomoc z mojej strony. Możesz pan sobie odwiedzać moją córkę codziennie od ósmej do dziewiątej, nie dłużej, bo mam zwyczaj chodzić spać wcześniej, a dla pana nie myślę zmieniać moich nawyknień. Nie zapraszam pana również na obiady, bo pociągnęłoby to za sobą pewne koszta i zachody, których to małżeństwo nie jest wcale warte. A teraz do widzenia z panem.

Tak się odbyło pierwsze spotkanie zięcia z teściem.

Ludwika powoli wracała do zdrowia, lecz gdy przyszła do siebie zareczynny jej zostały uroczyste oznajmione wszystkim. Następnie ogłoszono zapowiedzi—i dziś odbyło się wesele. Ot, i cała historia!

— I tych dwoje dzieci kochało się?

— Tak, pani.

— Sądzisz pan, że będą szczęśliwi?

— Należy przypuszczać.

— I powiadasz, że są ubodzy?

— Bardzo ubodzy: Armand pobiera trzysta franków miesięcznie, w księgarni; Ludwika zarabia cośkolwiek, malując na porcelanie. Na razie, to co mają wystarczy im.

— Lecz później, w przypadku choroby lub powiększenia się rodziny?

— Położenie ich może się zmienić...

— Jeżeli jednakże mieć będą zaledwie na kawałek chleba?...

— To usta ich zbliżą się do siebie, aby jeść go wspólnie.

— Hm!... coś o tém powątpiewam. Nie chcę prorokować, ale już widzę jak ich gwiazda miłości gaśnie...

(Dalszy ciąg nastąpi).